

"Bolek" nie spadł z nieba

8 lipca 2008

Historia Lecha Wałęsy nie jest historią jednostkowej zdrady czy oszustwa. Jest efektem powszechnej naiwności i lenistwa umysłowego.

Prawdę mówiąc, obecna wrzawa wokół Lecha Wałęsy wydaje mi się coraz bardziej niesmaczna. Bynajmniej nie dlatego, żebym wierzył w krystaliczną czystość noblisty. Nie dlatego też, abym miał coś przeciwko badaniu esbeckich archiwów bez taryfy ulgowej. Albo przeciwko ujawnianiu kapusiów. Nie, nie widzę żadnych – ani etycznych, ani politycznych – powodów, żeby funkcjonowała jakakolwiek święta krowa, której przeszłości nie można poddawać analizie. W przypadku Wałęsy jest to tym bardziej konieczne, że w ciągu ostatnich kilku dekad wątek jego domniemanej współpracy z SB pojawiał się w obiegu publicznym wielokrotnie. I to w dodatku – o czym „zapominają” dzisiejsi obrońcy czci ex-prezydenta – nie tylko za sprawą „oszołomów” i „frustratów”. Wątpliwości wobec podejrzanych uwikłań Wałęsy wyrażał podobno już w czasie solidarnościowego „karnawału” choćby Jacek Kuroń. Gdyby chodziło o anonimowe plotki dotyczące, dajmy na to, wiejskiego proboszcza czy małomiasteczkowego biznesmena, można by machnąć ręką. Jeśli jednak tego rodzaju wątpliwości pojawiają się wobec postaci tak istotnej w najnowszych dziejach kraju, to tym bardziej należy się zająć owym problemem.

W całej sprawie TW „Bołka” widzę jednak aspekt, który każe się zastanowić nie nad Wałęsą, lecz nad wieloma jego obecnymi przeciwnikami. Gdy bowiem obserwuje się ilość krytyki czy po prostu obelg padających pod adresem Wałęsy, nie sposób nie zadumać się nad kondycją Polaków – tych samych, którzy Wałęsę przez lata uwielbiali, oklaskiwali, nosili na rękach, a następnie masowo poparli w wyborach prezydenckich. Wałęsa nie spadł z nieba – skrywanie jego prawdopodobnej współpracy z SB nie zmienia faktu, że wszelkie jego inne wady były od dawna

widoczne, jawne i znane wszystkim tym, którzy nie mieli na oczach kłapek ślepej miłości do „naszego Lecha”. Nie mogę się też oprzeć wrażeniu, że ci, którzy na niego dziś najgłośniej pomstują, to te same osoby, które najdłużej i najmocniej wierzyły w geniusz Wałęsy.

Rozpatrując problem na płaszczyźnie ogólnej, lider „Solidarności” został nim nie na mocy boskiego werdyktu, lecz ze społecznego nadania. Nawet gdyby przyjąć za prawdziwe najbardziej skrajne i niekorzystne dla Wałęsy wersje wydarzeń, czyli pojawiające się sugestie, że jego współpraca z SB nie zakończyła się wcale w roku 1976, lecz trwała znacznie dłużej, a „służby” promowały „swojego człowieka” jeszcze w trakcie formowania i istnienia „Solidarności”, to nawet ta mało prawdopodobna wersja wydarzeń nie zmienia faktu, że popularność Wałęsy była w znacznej mierze spontaniczna i autentyczna. Nawet biorąc poprawkę na potencjalne – co nie znaczy, że faktycznie zaistniałe! – możliwości manipulacji nastrojami członków i sympatyków „Solidarności”, żaden esbek nie chodził i nie wbijał im pałką do głów kultu „Lecha”.

Wręcz przeciwnie. Polacy wielbili Wałęsę już wtedy, gdy „Solidarność” rozwijała się żywiołowo, a esbeckie próby manipulacji nastrojami społecznymi ponosiły fiasko – co przyznają także przeciwnicy Wałęsy – wskutek niesamowicie rozwiniętej jawności i demokracji wewnątrzwiązkowej. O ile po wprowadzeniu stanu wojennego owa demokracja zanikła, a „Solidarność” przekształciła się w organizację kadrową, z niejawnym i skomplikowanym procesem decyzyjnym, o tyle w latach 1980-81 to wszystko działało się na oczach i przy udziale setek tysięcy ludzi. Oczywiście reżim komunistyczny mógł próbować rozmaitych manipulacji, mógł w taki czy inny sposób wspierać bardziej wygodną dla siebie grupę działaczy „Solidarności” przeciwko innym jej grupom, ale jeśli odrzucimy wątpliwej jakości teorię o totalnej manipulacji i „reżyserii” zdarzeń na niesamowitą skalę, to nie sposób uznać, że Wałęsę na szczyty wynieśli esbecy, nie zaś działacze, także

szeregowi, opozycji antykomunistycznej.

W mojej – czysto intuicyjnej – ocenie, decydującą rolę odegrali nie esbecy, lecz Polacy. A konkretnie dwie przypadłości, których istnienie wydaje mi się faktem niemożliwym do precyzyjnego zbadania, lecz widocznych gołym okiem nie raz i nie dwa. Po pierwsze, Polacy lubią miłe słówka, lubią, gdy ktoś opowiada im to, co chcą usłyszeć. Wałęsa pasował do tej roli znakomicie – z jego postawą wyrażoną po latach formułą „za, a nawet przeciw”, z jego dość prymitywnymi, ale nierzadko celnymi bon motami i frazeologią idealną na wiecowe „podbijanie serc”, z jego brakiem konkretów formułowanym w nader... konkretnym języku. „Lechu” miał talent ludowego polityka i przywódcy tłumów, a w Polsce zostało to zwielokrotnione przez społeczne oczekiwania. Czy to w czasach pierwszej „Solidarności”, czy później, gdy obiecywał każdemu po 100 milionów. Nawet w swoim skrajnym egocentryzmie, wyrażonym najpełniej w przekonywaniu, że „to ja obaliłem komunę”, jest on bardzo polski, przypominając np. wódczane przechwałki wielu naszych rodaków.

Druga zaś kwestia, która w moim odczuciu ułatwiła wyniesienie Wałęsy na wyżyny, to nasza narodowa niezdolność do działań długofalowych. Polacy są idealnym odzwierciedleniem biblijnego wezwania „obyś był zimny lub gorący”. Wielokrotnie pokazaliśmy, że stać nas na wielkie zrywy i bohaterskie czyny. Tyle, że ich dopełnieniem jest marazm i obojętność, gdy już opadnie pierwszy zapał lub minie zagrożenie. Ci sami ludzie, którzy – jestem pewien – w obliczu np. napaści z zewnątrz znów biliby się do ostatniej kropli krwi nawet w sytuacji ogromnej przewagi wroga, są w realiach pokoju niezdolni do tego, żeby odmówić sobie dwóch piw miesięcznie i masowo wpłacać choćby po 5 zł, aby stworzyć trwały niezależny ruch społeczny czy polityczny, bez łaski sponsorów i konieczności dwuznacznych uwikłań. Poza „stanami podwyższonej bojowości”, mizernie wychodzą nam spokojne, stonowane, lecz wytrwałe działania. Oczekujemy natomiast, że jakiś geniusz, jakiś Wódz, dokona

cudu, odmieni wszystko bez naszego udziału – kolejne wydania tego swoistego kultu jednostki przetaczają się przez polską ziemię z zadziwiającą nieodmiennością, ponad politycznymi podziałami, od Piłsudskiego, przez Andersa, Gomułkę, Gierka, Jana Pawła II, Wałęsę, Kwaśniewskiego itd. Jaka jest najczęstsza reakcja Polaków na jakikolwiek problem ujawniony w mikro- lub makroskali? „Ktoś powinien coś z tym zrobić!”. Nie my, nie wspólnym wysiłkiem, nie razem – ktoś. Tu także Wałęsa ze swoim wybujałym ego, ale także z wyraziście autorytarnymi poglądami, idealnie trafił w zapotrzebowanie społeczne. Po co mamy starać się my, skoro on oferował nam to swoje nieustanne ja, ja, ja...

Cechy Wałęsy bardzo kontrastują z postawami jego konkurenta o pozycję lidera pierwszej „Solidarności”, Andrzeja Gwiazdy. Myślę, że właśnie dlatego Andrzej ową rywalizację przegrał. Po pierwsze, mówi on ludziom to, co myśli, nie zaś to, co oni chcą usłyszeć – i nierzadko są to rzeczy niemiłe, surowe, biegnące w poprzek utartych schematów. Po drugie, Andrzej jest autentycznym demokratą – uważa, że nie żaden cudotwórca, lecz my sami, wspólną pracą, powinniśmy odmienić Polskę na lepsze, że jak sobie pościelimy, tak się wyśpimy. Wspominam o tym nieprzypadkowo. Dziś bowiem, w ogniu sporu o „Bołka”, można zaobserwować wiele cudownych nawróceń. Gdyby na serio potraktować np. komentarze na forach internetowych, można by uznać, że Wałęsa był od dawien dawna podejrzewany przez ogromną ilość Polaków o różne podłe sprawy, zaś Gwiazda cieszył się przez lat niekwestionowanym szacunkiem i wielkim poparciem społecznym.

Ale przecież wszyscy wiemy, że Wałęsa wysoko wygrał z Gwiazdą w wyborach na stanowisko lidera pierwszej „Solidarności”. Gdy w okolicach „okrągłego stołu” mnóstwo osób fetowało powrót „Lecha” z podziemnego zmarginalizowania, wokół Gwiazdy skupiła się zaledwie garstka osób kwestionujących zarówno sam „okrągły stół”, jak i swoisty „zamach stanu”, jakim było budowanie nowej „Solidarności” przez drużynę zauszników Wałęsy, z

pominięciem wielu tych, których przed stanem wojennym delegaci Związku wybrali do Komisji Krajowej. Gdy kilka lat później Wałęsa zasiadał w Belwederze, ciesząc się jeszcze całkiem sporym poparciem społecznym, Gwiazda nie zdołał w wyborach 1993 r. zarejestrować ogólnopolskich list Komitetu Wyborczego „Poza Układem”. Dziś jednak Gwiazda jest wychwalany przez tych, których spora część przynajmniej do połowy lat 90. wielbiła Wałęsę. Wielbiła, bo miał Matkę Boską w klapie, był „za, a nawet przeciw”, obiecywał po 100 milionów, „tymi rękami obalił komunizm” itd.

Oczywiście można powiedzieć, że gdyby podejrzenia w kwestii TW „Bołka” znano wcześniej, to rozwój sytuacji wyglądałby inaczej. Albo gdyby była lustracja. Albo gdyby „układ” dopuścił Gwiazdę do mediów w roku 1989 na taką samą skalę, na jaką zaoferował to Wałęsie czy Michnikowi. Być może coś by to zmieniło, ale prawdę mówiąc nie sądzę, że w istotnym stopniu. Wystarczy bowiem spojrzeć na to, kim są dzisiejsi krytycy Wałęsy i ile oni zrozumieli z tego wszystkiego. Ich zarzuty wobec domniemanego „Bołka” koncentrują się na współpracy z SB, a z nowszych wydarzeń dotyczą współudziału w odwołaniu rządu Jana Olszewskiego lub „wspierania lewej nogi”, czyli planu wzmocnienia postkomunistów za prezydentury Wałęsy. Wniosek z tego taki, że gdyby Wałęsa nie współpracował z SB, wsparł rząd Olszewskiego i dobił „lewą nogę”, wszystko byłoby OK. Matka Boska w klapie, 100 milionów dla każdego i certyfikat niewinności z IPN-u wystarczyłyby do tego, żeby atakowany „Bolek” mógł być wciąż wielbionym „Lechem”.

Żeby krytykować Wałęsę, nie trzeba oryginałów czy kopii jego domniemyanych donosów z lat 70. Nie trzeba też wspierania „lewej nogi”. W zupełności wystarczą te jego poczynania, na które krytycy nie zwracają uwagi. Czyli poparcie dla prywatyzacji w wersji, która nie uwzględniała ani interesów narodowych, ani sytuacji milionów ludzi-pracowników. Czyli lekceważenie społeczeństwa i jego opinii o kształcie nowej Polski. Czyli wspieranie takiego modelu gospodarki i polityki,

które musiały poskutkować szybką i głęboką oligarchizacją. Czyli przedkładanie pustosłownia i tanich gestów nad realne i konkretne decyzje mające na celu dbałość o dobro wspólne. O tym, że Wałęsa jest postacią szkodliwą, znacznie bardziej przesądza jego wsparcie dla Balcerowicza niż domniemane pisanie donosów na kolegów ze stoczni, choć oczywiście to drugie jest bardziej obrzydliwe w kategoriach moralnych.

Sęk w tym, że dzisiejszym krytykom Wałęsy przeszkadza właśnie TW „Bolek”, nie zaś wspólnik Balcerowicza. Czyni to krytykę Wałęsy zupełnie jałową, bo w najlepszym razie prowadzi ona do konstatacji, że wyrzucanie ludzi na bruk z mieszkań i masowe bezrobocie nie byłyby złe, gdyby tylko realizowali to „dzieło” ludzie z IPN-owskim świadectwem moralności. Tak zresztą na serio myśli mnóstwo przeciwników Wałęsy – ich zdaniem, cały ten bandycki, latynoski model kapitalizmu, zainstalowany w Polsce po roku 1989, jest zły wyłącznie dlatego, że wcielali go w życie esbecy oraz dawni funkcjonariusze partyjni. Aha, no i ekipa Michnika, która zatrudniła Maleszkę i lekceważyła „ochronę życia poczętego”. Gdyby ten sam syf zafundowali nam „prawdziwi Polacy”, nieskażeni ukąszeniem esbeckim, rozmodleni i zaczytani w farmazonach Michałkiewicza czy innego specja od demaskowania „obcych knowań”, wszystko byłoby w porządku...

Niedawno w „Rzeczpospolitej” Rafał Ziemkiewicz przypomniał mimochodem prostą, lecz nadal jakby nieobecną prawdę. Taką, że bracia Kaczyńscy, dziś przedstawiani jako główni oponenti „Bolka”, nie tylko w kluczowym momencie go wspierali, ale przede wszystkim zwalczali konkurencyjną wizję nowej Polski, którą reprezentował właśnie Gwiazda. Zacytujmy fragment tekstu Ziemkiewicza, bo sam bym tego lepiej nie ujął niż ulubieniec prawicowych czytelników: „w chwili, gdy wśród ludzi »Solidarności« dokonywał się fundamentalny podział na tych, którzy mieli rządzić wolną Polską, i tych, którzy zostali z niej »wyślizgani«, Kaczyńscy nie znajdowali się po stronie Andrzeja Gwiazdy, Anny Walentynowicz i Krzysztofa Wyszковского, o Kornelu Morawieckim nie mówiąc. Przeciwnie,

brzemiennej w skutki decyzji Wałęsy, aby nie zwoływać legalnych władz »Solidarności« z roku 1981, ale tworzyć pod historyczną nazwą nowy związek z działaczy mu posłusznych, Jarosław Kaczyński bronił nawet wtedy, gdy od dawna był już z pierwszym prezydentem III RP śmiertelnie pokłócony (co jednak nie dziwi, bo bronił swoich ówczesnych wyborów). Przypominanie tego, co po latach udało się załagodzić orderami Orła Białego, nie jest dziś braciom Kaczyńskim na rękę”.

Nie jest to na rękę nie tylko Kaczyńskim, ale także wielu dzisiejszym krytykom „Bolka” i autorom peanów na cześć Gwiazdy. Bo to właśnie oni w kluczowym momencie wspierali Wałęsę przeciwko Gwieździe – nie dlatego, że nie wiedzieli o agenturalnej przeszłości „Lecha”. Dlatego, że ów „Lechu” oferował im to, czego chcieli: wielkie obietnice, żadnych wymagań, trochę sloganów i Matkę Boską w klapie. Gwiazda oferował im coś wręcz przeciwnego.

Cieszę się, że IPN-owskie akta wydobywane są na światło dzienne, że spadają maski, że skończyło się zmiatanie brudów pod dywan. Ale jeśli jedynym skutkiem ma być to, że ci, którzy dali się nabrać Wałęsie, teraz dadzą się nabrać komuś podobnemu, lecz lepszemu tylko dlatego, że nie donosił na kolegów i nie wspierał „lewej nogi”, to całe to zamieszanie nie ma żadnego sensu. Bo lekcja ze sporu Gwiazda – Wałęsa to nie jest lekcja o wyższości porządnego człowieka nad kapusiem. To lekcja o wyższości samodzielnego myślenia, krytycyzmu i społecznej aktywności nad stadnymi odruchami, lenistwem intelektualnym i wiarą w idola, który robi coś za nas. Jeśli z tego wszystkiego zostanie tylko pomstowanie na agentów i zapatrzenie w nowego, tym razem niewikłanego Wodza, to wniosek będzie wyłącznie jeden. Taki mianowicie, że na głupotę i naiwność nie ma lekarstwa – nawet w IPN-ie.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [Obywatel](#)